

naprawie Elżbieta Binder
broszura autoryzacji

I/86

ARCHIWUM WSCHODNIE

TADEUSZ STEFAN CHODKIEWICZ

Jestem Tadeusz Stefan CHODKIEWICZ, syn Stefana i Jadwigi z domu Modzelewskiej. Urodziłem się 28 października 1927 roku w Lublinie. Przed samą wojną, po śmierci rodziców znalazłem się w sierocińcu u księży Salezjanów. Tam zastała mnie wojna. Gdy Niemcy zbliżali się, zostaliśmy rozpuszczeni; *chłopiarz* ~~nas~~ radą abyśmy poszli paść krowy, bo na wsi najłatwiej przetrwać czas frontowy. Ja razem z moimi dwoma kolegami niejakim Sobolewskim i Zuberem poszedłem do Lwowa. Udało nam się tam dostać. Zakopiekował się nami Komitet Uchodźców. *S* skierowano nas znów do Salezjanów, na ulicę Kadetów. I tam, w zupełnie innych warunkach niż te, jakie znaleźmy z Przemyśla, zostaliśmy zakwaterowani. U Salezjanów we Lwowie był *l*uksus, bo to nie był sierociniec a internat dla bardzo bogatej młodzieży, synów ziemian-
skich rodzin. W Przemyślu spaliśmy na siennikach, we Lwowie sypialnie miały eleganckie materace, prześcieradła. Inny panował też rygor.

Budynek internatu księży Salezjanów znalazł się między dwoma liniami frontu, w naszym domu umieszczono czułki polskich cekaemów. Któregoś dnia jeden z księży kazał nam sprzątnąć zaśmiecone boisko. Wtedy po raz pierwszy i z bliska zetknąłem się ze śmiercią. Golebiarz ukraiński zastrzelił Sobolewskiego, przestrzelił mu gardło. Chłopak bez pomocy lekarskiej dwa dni umierał. Miał 8 lat.

Weseli Rosjanie. Ja jestem dwujęzyczny, bo od dziecka zajmowała się mną niejaka pani Buczacka, Rosjanka - emigrantka z Rosji, która z mężem Polakiem przyjechała po rewolucji do Lublina. Nie znała polskiego, więc siłą rzeczy ja musiałem

uczyć się rosyjskiego. I ja mając 12 lat tłumaczyłem rozmowy między dowództwem radzieckim a polskimi żołnierzami. Pamiętam, że tej grupie, którą Rosjanie skierowali do Kazimierza, bo pochodzili z tamtego rejonu, kazali zabierać karabiny i ostrzegali przed bandami ukraińskimi. Żołnierze odjechali furmankami. Myślałem, że się z nimi zabiorę do Lublina, ale nic z tego nie wyszło. Oficerowie zostali aresztowani.

We Lwowie chodziłem najpierw do zwykłej szkoły, potem do szkoły kolejowej z internatem, aż do wybuchu wojny radziecko-niemieckiej. Rosjanie ewakuowali całą szkołę kolejową, zostawili tylko tych, którzy pochodzili z terenów wschodnich, a nas zostawili na pastwę losu. Ja nie pochodziłem ze Lwowa, nie miałem tam żadnych krewnych ani znajomych. Mieszkałem nadal w bursie szkoły kolejowej. Gdy wszyscy się rozeszli, okazało się że zostałem zupełnie sam. Można było wszystko brać, były kocy. Ja wziąłem jeden z patefonów, wyrzuciłem wszystko ze środka, potrzebna mi była walizka. Włożyłem swoich "Trzech Muszkieterów", których zawsze ze sobą miałem i poszedłem do kolegów z sierocińca. Ich też nie zastałem. Powiedziano mi, że przeniesiono wszystkich na Zamarstynów. Jak tam szedłem, spotkałem po drodze radzieckich żołnierzy, brudnych, jeden był ranny. Byli oni z rozbitego działonu. Działa nie mieli, nie wiedzieli, gdzie iść, szukali kierunku wschodniego. Razem z nimi poszedłem na stację Podzamcze. Odprowadziłem ich i żeby było bliżej poszedłem przez Wysoki Zamek. Stamtąd obserwowałem Lwów, znów palił się Dworzec, znów paliły się te same miejsca co w 1939 roku. Na Wysokim Zamku stała jednostka przeciwlotnicza, cztery lotufowe maksymy przeciwlotnicze. I ci żołnierze zaopekowali się mną. Byłem głodny. Zostałem "Synem pułku" jak Rosjanie nazywają "wospitan~~ym~~^{nik}". Kiedy zaczęli się wycofywać ze Lwowa, ja też z nimi, z tą jednostką. Pamiętam, że Ukraińcy tak jak

w 1939 roku strzelali do Polaków, z jeszcze większym powodzeniem strzelali do wycofującej się Armii Radzieckiej. Wycofywaliśmy się ulicą ~~Łyczakowską~~ na Winniki. Z wieży kościoła ~~Matki Boskiej Ostrobramskiej~~ strzelali Ukraińcy po kolumnie. Pamiętam strach i jednocześnie ~~saty~~sufakcję, że Armia Radziecka podzieliła los Wojska Polskiego.

Cofaliśmy się w kierunku Złoczowa, Tarnopola, Żytomierza. Byłem też w Szepietówce i słynnym Berdyczowie. Nasza rola polegała na tym, że mieliśmy z powietrza chronić kolumny, samochody nasze znajdowały się pomiędzy wycofującymi się kolumnami. Ale wkrótce zabroniono nam strzelać, bo tylko taki odnieśliśmy "sukces", że ~~popr~~przecinane zostały przewody telefoniczne, a Niemcom szkód nie wyrządziliśmy żadnych. W okolicach Fastowa zbombardowano nas. Nasz samochód został rozbity, ja wyleciałem z platformy, lejtnant z szoferem podobno spalili się. Opowiadali mi to później żołnierze z naszego plutonu, bo ja ocknąłem się dopiero w szpitalu polowym w Browarach. Miałem tam okazję na ~~własne~~ oczy zobaczyć Budionnego.

Żołnierze rozpięszczali mnie, a skutki nadmiernej przyjaźni okazały się dla mnie przykre. W Kijowie rozbito fabrykę skodytocy, moi przyjaciele skorzystali z tego i przywieźli mi dwie skrzynki łakoci. Jadłem je na okrągło, aż rozboleły mnie zęby do tego stopnia, że miałem operację łuskania kości szczękowej. Skierowano mnie potem do szpitala przesyłkowego do Darnicy. Na chirurgii leżało dwoje chorych, ja i saper ranny odłamkami w brzuch. Umierał trzy dni, strasznie jęczał. Był to już ~~w~~ czas, kiedy niemiecka artyleria ostrzeliwała Dniepr. Skierowano mnie do batalionu ozdrowieńców w miejscowości Starinówka. Zaprzyjaźniłem się ~~z~~ z Rosjaninem, który trafił tam z karnej kompanii, a do niej, ~~do~~ dotychczas miał wyrok 10 czy 15 lat za zabicie siostrę teściowej. Został ranny i zabrano go do szpitala, a to

znaczyło, że odkupił krwią swoją winę i może iść do jednostek liniowych. Zaprzyjaźniłem się też z pewnym Uzbekiem, nie pamiętam jego nazwiska, oraz z żołnierzem z pierwszego samochodu tej kolumny wycofującej się ze Lwowa, o nazwisku Leluch. Jak opuszczaliśmy Lwów mijaliśmy sklepik spożywczy, tenże Leluch przyniósł nam skrzynkę piklingów i coś, co mówił, że jest serem, a były to drożdże. Ja po tej uczcie wypilem całą wodę z chłodnicy cekaemy, a Leluch miał straszne sensacje żołądkowe. Leluch to był bardzo sympatyczny Ukraińiec, pochodzący nie z naszej zachodniej, a ze wschodniej części Ukrainy.

W batalionie ozdrowieńców dowódcą był ciekawy człowiek, miał złamaną rękę, źle zrosniętą. Gdy pytałem go, z czego to powstało powiedział, że zdobył to kalectwo na fińskim froncie. Finowie wybudowali przymy betonowe przeciwczołgowe. On musiał podczołgiwać się, borować dziury i zakładać ładunki wybuchowe. Każdą przymę osobno wysadzali. W czasie jednego wybuchu dostał w rękę odłamkiem. Komisarz naszego batalionu był sympatycznym człowiekiem, nazywał się Pagremnoj, podobno nauczyciel, dobrze wspominał też lekarza, Gruzina.

To on wezwał mnie pewnego razu do sztabu, zapytał, czy jestem Polakiem. "No to i pajdiosz w polsku armiu". Zostałem skierowany do Andersa. Oczywiście nie orientowałem się o co chodzi. Dostałem wszystkie papiery jako żołnierz i skierowanie do polskiej armii. Nosilem wtedy mundur radziecki. Bgłosiłem się do miejscowości Priłuki /lub Piszietynie - nie pamiętam/. Na tamtejszym stadionie zgromadzeni byli przeróżni ludzie "wsiakaja nationalnaja swołocz". Było nawet dziesięciu Greków, którzy nie mówili ani słowa po polsku czy po rosyjsku. Wielu z Podola, bardzo dużo Żydów spod Lwowa, Huculi z Pokucia. Na boisku był ustawiony stolik, podchodziło się i rejestrowali. I pod względem etnicznym i klasowym była różnorodność.

Pamiętam, że było bardzo dużo fryzjerów. Do polskiej armii maszerowaliśmy piechotą, bez broni, w kierunku wschodnia. Na drogę ~~dostawialiśmy~~ ^{dali} chleb, koc, w punktach rozdzielczych dostawialiśmy zupę i tak ciągnęliśmy naprzód. Ze mną szła dziewczyna może o rok lub dwa starsza, też w mundurze radzieckim. Księży nie przypominam sobie, widziałem jak już wzięli mnie do niewoli księży i polskich oficerów jak brukowali drogę koło Skriłowa oraz lotnisko koło Kijowa.

Otoczyli nas na szosie Niemcy i wzięli do niewoli. ~~Był~~ Stało się to około 20 września 1941 roku, Niemcy już zajęli podobno Charków, Kijów jeszcze się bronił. Zgromadzili nas w miejscu, które po rosyjsku nazywa się MTS "mechaniczeskaja traktor naja stacja". Było tam duże pole i tylko jedna studnia artezyjska. Wygrzebaliśmy coś w rodzaju ziemianek i tam mieszkaliśmy. Dwaścieścia parę tysięcy ludzi i jedna studnia! Niemcy na wiele się przygotowali, ale nie przygotowali się na taką liczbę jeńców. Mięsa było w bród, bo Niemcy wystrzelili kałchozowe krowy, kartofle kopaliśmy w polu. Dokuczał brak soli i straszne pragnienie.

W tym okresie Niemcy dość łatwo zwalniali z niewoli. Np. widziałem jak przyszła kobieta i płakała, że jej mąż jest w GG ~~że miejscowość, do której chce jechać~~ i chce do niego jechać, po sprawdzeniu, ~~ni rzeczywiście jęście~~ ^{istnieje} zwalnili ją. Nie wiedzieli, co z tymi jeńcami robić. Naszym lekarzem batalionowym był Niemiec nadwożżański, jego też wzięli do niewoli i zrobili naczelnym lekarzem obozowym. To on, kiedy zobaczył mnie w tej niewoli, zabrał do sztabu, a tam wydali mi imienne, normalne skierowanie do Lublina. To było w październiku, w miejscowości Czelenokawy pod Połtawą. Po drodze niektóre osoby dawały mi listy, szczególnie do Kijowa, bo widziałem, że będę wracał przez Kijów. Gdy jeden z nich oddawał mi (a mówiłem po rosyjsku) ku mojemu zaskoczeniu staruszka, której

oddaniem list zawołała po polsku do męża: "Władzio do nas napi-
sał, żyje." "To wy jesteście Polakami?" zdziwiłem się i dopie-
ro wtedy skojarzyłem sobie, że ten człowiek, który mi list odda-
wał nie domyślał się, że jestem Polakiem, bo byłem w mundurze
czerwonoarmisty. Jak Niemcy brali nas do niewoli to od razu od-
dzielali: enkawudzistów, milicjantów, oficerów politycznych
i Żydów. W Kijowie oddałem też list od pewnego majora jego zo-
nie. Zatrzymała mnie parę dni. Ciężko mi było, też nie mieli
co jeść. Poszedłem na Żytomierz, tam przenocewałem u jakiejś
czeskiej rodziny. Za Żytomierzem, jak wyszedłem na drogę jecha-
ła cysterna od strony frontu. Podniosłem rękę, zatrzymali się.
Zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że byli to Ślązacy. Było
już zimno, padał deszcz ze śniegiem. Przewieźli mnie z 300 km.
pod Równę czy Luck, już nie pamiętam. Zawsze starałem się noc-
wać po wsia^{ch}, bo łatwiej było o wyżywienie. Trafiłem do ^{ed} junej
wsi ukraińskiej, gdzie złapali mnie i zamknęli. Bałem się, bo
byłem w radzieckim mundurze, nie wiedziałem, czy przyznać się,
że Polak. Znałem ukraiński i pieśni ukraińskie, zaśpiewałem im
"Wijut wichry, wijut burie" i jeszcze inne. Uznali mnie za swo-
jaka i nie zrobili krzywdy. Dalej poszedłem piechotą do Włodzi-
mierza, a z Włodzimierza do Hrubieszowa, stamtąd pociągiem.
Zainteresowali się mną granatowi policjanci, zaprowadzili
do KGO, a tam mnie nakarmili. Policjant wykupił mi bilet.
Zatknąłem się tam z Niemcami mówiącymi po polsku, byli z Żoro-
ra i też mi krzywdy nie zrobili. A kiedy przekraczałem most
nad Bugiem, pierwszy raz zatrzymała mnie formacja wojskowa.
Jak dotychczas nikt mnie o nic nie pytał, z wyjątkiem wójtów
czy sołtysów po tych wsia^{ch}, gdzie nocowałem. Ci Niemcy naka-
rmiłi mnie gulaszem. Odniosłem wrażenie, że mieli wielką uciechę
zobaczyć takiego małego chłopca w mundurze radzieckim, miałem
na głowie czapkę budi^onowką. I po Lublinie ^ochodziłem w tej

czasem, bo innej nie miałem. Patrzone na mnie jak na papugę na jarmarku, ale nikt mi jej z głowy nie zdark. Naturalnie ta moja budionowka była bez gwiazdy.

Tak wróciłem do Lublina. Nie wiedziałem, że mój ojciec zmarł. Odesłano mnie z Lublina na pięć dni przed śmiercią jego. W Lublinie oddano mnie do rzemiosła. / Z sierocińca salezjanów w przemyśle ci, którzy się dobrze uczyli mogli trafić do seminarium do Warszawy. Ci, którzy wykazali się dobrym graniem na instrumentach muzycznych szli do szkoły organistów, a ci, którzy się tam nie nadawali byli oddawani do Braci Albertów i szli do terminu. Taka była droga życiowa wychowanków Salezjanów z przemyśla tzw. jozefków. /

W Lublinie zacząłem terminować w zakładzie maszyn do pisania. Po południu chodziłem do szkoły, żeby zrobić VII klasę. To był jeszcze rok 1941. Mieszkałem u pana Ossowskiego, kibera, który był przyjacielem mojej rodziny. Szkolny materiał miałem przerobiony dalej niż VII klasa ale nie miałem żadnego świadectwa. Rzemiosło wymagało, nie można było podpisać umowy o naukę zawodu. Obowiązywało zarządzenie niemieckie, że jeden dzień w tygodniu był przeznaczony na naukę. Jednego dnia mieli naukę odzieżowcy, drugiego metalowcy, innego budowlańcy, fryzjerzy, krawcowe. Bardzo było przestrzegane chodzenie do szkoły. Siostra mojej stryjenki pomogła mi dostać się do szkoły budowlanej. ~~W~~

Zjęcia były prowadzone na wysokim poziomie, często zdarzało się, że uczyli profesorowie wyższych uczelni. Moim nauczycielem fizyki był profesor z Uniwersytetu. Ja jednak zawsze miałem kłopoty ze sobą. Takie stopnie miałem: siedem piątek i trzy dwójki, jedną czwórkę z polskiego. Uczono nas języka polskiego z podręcznika przedwojennego. Historii ani geografii nie było.

Ody dowiedziałem się, że tworzy się polska armia na wschodzie dałem drapakę do Warszawy i zgłosiłem się do firmy austriackiej Hotach, która organizowała

wyjazdy na Białoruś. Chciałem przejść w ten sposób przez front i dojść do armii. Trafiłem do Homla. Tam ciężko pracowałem w firmie kolejowej przy kładzeniu podkładów. Dostałem tzw. Marschbefetz. Nie miałem jeszcze 16 lat, a jeden podkład ważył 75 kg. Spotkałem w Bauzugu jednego ślązaka, któremu zrobiło się mnie żal i namówił, żeby zgłosić się na lotnisko. Było to lotnisko niemieckie, zakwaterowano mnie z pewnym Ukraińcem. Jak przelatywały kukuruźniki on dawał ~~z~~ nami latarkę. W końcu przymknęło go GSP, to były taka frontowa odmiana gestapo. Mnie też zabrali do więzienia, z którego wywiózł ^{mnie} Edward Burakiewicz /pisze o nim Ślaski w "Polsce Podziemnej"/ wtedy pracował on jako kierowca u Niemców w SD, nie chodzili oni w czarnych mundurach, mieli tylko wypustki czarne. Jak Burakiewicz wywiózł mnie ciężarówką z więzienia zgłosiłem się do poprzedniej firmy. Oni wiedzieli, co się stało, ale o nic mnie nie pytali. Nikt mnie nie pytał czy zostałem zwolniony, woleli w szczególności nie wnikać.

Jechaliśmy do Żłobin, Mogile, Baranowicz, Mińska, Mołodeczna. W Mołodecznie poznałem Polaka, lekarza kolejowego i to on ułatwił mi dostanie się do partyzantki. On chyba też był z partyzantki. Łącznik dowiózł nas do Nowej Wilejki, był jeszcze ze mną jeden kolega z Bauzugu, którego resztą ja namówiłem. Dostaliśmy adres na Zarzecze, do łączniczki Haliny Golc. U niej byliśmy 2-3 dni. Przyszedł Kupiec i zabrał nas do oddziału.

Trafiłem do III Brygady Wileńskiej Szczerbca. Działo się to w marcu 1944 roku. Znalazłem się w plutonie rekruckim. Brałem udział w akcji na Muro

Pod Muro zaatakowaliśmy Litwinów, których Niemcy wysłali na pacyfikację. Okazało się, że pacyfikację to myśmy im zrobili. Nie zdążyli rozpakować karabinów i granatów ze skrzyń. Atakowała nasza brygada III i VIII oszmiańska.

Było ich chyba ze trzystu, wielu zginęło. Rozebrałiśmy ich, bo mundury były potrzebne, zostali tylko w gaciach. Jeszcze kawalerzyści złośliwie obcięli im gunki, żeby ^{mi} rękami przytrzymywali. Ustawili ich w tyraliere i popędzili na Jaszczury w stronę Niemców. Z rana są opary, a oni zaczęli się z tych oparów wynurzać. Niemcy nie wiedzieli, kto to jest i zaczęli strzelać.

Później na Wilno. Ja zachorowałem, miałem drugi raz zapasć. Dostałem zwolnienie lekarskie. Później brałem udział w szturmie Wilna, zostałem ranny od razu, pierwszego dnia. Jak podchodziliśmy od strony Kolonii Kolejowej byliśmy w drugiej linii - już nie byłem w III kompanii, na skutek pewnych zatargów z dowódcą plutonu stanąłem do raportu i komendant przeniósł mnie do łączności.

Po szturmie Wilna stworzono z nas, z łączności, z żandarmerii i z uzupełnienia grupę zaporową, bo okazało się, że na prawym skrzydle już nikogo nie ma, żadnego naszego oddziału i myśmy mieli stanować. Tam natknęliśmy się na pociąg o którym Korab-Zębryk pisał, towarowy z opancerzonymi. Myśmy ten pociąg zdobyli. Tą grupą dowodził Kurab P, postać tragiczną, bo został później przez Szczerbcę rozstrzelany, podobno był to agent gestapo. Myśmy tego nie wiedzieli, przy nas zastrzelił maszynistę Niemca i jego pomocnika. Niemców polikwidowaliśmy. Kurab uruchomił pociąg, puścił parę, dał bieg wstecz i uruchomił, ^{pociąg} poszedł w siną dal w kierunku Wilejki.

Wtedy zostałem ranny. Jak przekroczyliśmy rzekę i weszliśmy w martwe pole dostałem. Zobaczyłem to wyluwając wodę z butów, że mam w nich krew. Zemdlałem na widok krwi. Jak później ocknąłem się, byłem już na punkcie ^{dowodzenia.} ~~opatrunkowym~~

Stanisław

Już tam był hrabia Plater, który dowodził kawalerią. Przyjechał radziecki gazik, z radzieckim majorem. Nie wiem, dlaczego ale pojechałem do ich Sanbat -u, do jakiegoś miasteczka. Tam poznałem bardzo sympatyczną dziewczynę Lusię Jacyn^{ównę} ~~owicką~~. Była z matką i siostrą, a siostra była żoną zarządcy majątku. Nie trafiłem na dół ~~domu~~, gdzie leżeli radzieccy żołnierze, a zabrali mnie do siebie, do domu, gdzie mi nawet łóżko odstąpiono. Byłem tam ~~u~~ożubiony. Jak mi się poprawiło, dostałem się do IV kompanii, która właśnie tworzyła się, do Francuskiego ~~My~~gna. Mieliśmy wkroczyć do Wilna, z paradą, z orkiestrą. ~~X~~ Mieliśmy już wejść, ale przyjechał adiutant oddziału pseudo Wołodyjowski i powiedział, że Rosjanie nie zgodzili się na nasze wejście, a jeżeli to tylko bez broni. Ale żebyśmy z bronią poszli do oddziału, chętnie przyjmą. Duży był napływ młodzieży, która nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Nie wiadomo było, kto jest gospodarzem tego terenu. Chodziły słuchy, że na Ponarach rozbrojono oddział Juranda, ~~y~~ ale to nie były pewne wiadomości. Myśmy poszli. Znalazłem się w Wilnie drugi raz. Pierwszy raz ~~to~~siedziałem kątem u łączniczki i nosa zza ściany nie wyściubiłem. Teraz kazaliśmy. Jeden kolega z batalionu, który pochodził z Wilna, zaprosił nas do siebie. Następnego dnia, czy za dwa dni był alarm i Bury wyprowadził nas wszystkich do Puszczy Rudnickiej. Już nad nami latały kukurużniki / 10 lub 12 lipca 44r. Myśmy Wilna nie zdobyli. Jak atakowaliśmy Wilno, to atakowały nas sztukasy, potem poleciały w stronę Mołodeczna, okazało się ~~że~~ od Mołodeczna szły radzieckie czołgi. Widać woleli bombardować radzieckie czołgi niż naszą piechotę. Bury wyprowadził nas do Puszczy Rudnickiej, gdzie byli radzieccy partyzanci i żydzi, którzy tam się ukrywali. Bury jak wyprowadził nas do Puszczy to zwolnił z przysięgi, kazał złożyć broń na wozy, każdy poszedł, gdzie miał. Ja nie miałem gdzie. Był tam chłopak

Białorusin, namówił mnie, żeby pójść do jego ciotki mieszkającej w wiosce w Puszczy Rudnickiej. Jak żeśmy wyszli na drogę, tośmy się natknęli na radziecki czolg, bo już teren otoczyli. Zapytali: kto? ja im odpowiedziałem po rosyjsku i puścili nas. U tej ciotki przesiedzieliśmy dwa dni. Kolega został, ja zacząłem wracać do Wilna. Wróciłem na to dawne mieszkanie, a tam był kocioł. Otworzyli drzwi: "dawaj siuda" zaprosił dzente lmen z "widelcem" i trafiłem do kotła. Wszystkich nas zawieźli do komendantury, a tam był bałagan. Nie wiedzieli kto i jak. Ja się nie przyznałem, że byłem w Armii Krajowej, a miałem jeszcze zaświadczenie z Armii Radzieckiej ze szpitala, że byłem ranny w 1941 roku, miałem zaświadczenie niemieckie, że byłem jako jeńiec radziecki zwolniony z niewoli. Zrobiłem największe głupstwo jakie mogłem zrobić, powiedziałem, że jestem byłym żołnierzem radzieckim. Aresztowali mnie i wsadzili między własowców, dezertów i powiedzieli: "Sieditsja, Pijediete NKWD, róbieritsa z wami". Na szczęście nie doczekałem tego. Te koszary, XIII pułku ułanów, gdzie zrobili nam ten obóz, były zalane. Przyjechała straż z Nowej Wilejki, właśnie ta orkiestra od Szczerbca. Oni wywieźli mnie. Byłem ranny w obie nogi, nie bardzo mogłem chodzić, ale miałem wysokie buty niemieckie, bandaży nie było widać. Poszedłem do kałędza w Kolonii Kolejowej, dostałem koszulę, jakieś porcięta. Poszedłem znów do Wilna, bo chciałem kogoś znajomego spotkać. Tym razem zatrzymałem się u pani Jacyny. Było wtedy bombardowanie, bombardowali Niemcy. Obudziłem się jak futryna okienna spadła mi na łóżko. Po tych wszystkich przejściach, pierwszy raz w łóżku! Spotąłem jeszcze dwóch kolegów z oddziału i poszliśmy na Lidę. Jeden z kolegów został w Lidzie, drugi w Wołkowysku, a ja z Kazikiem / Jan Baniewski / poszliśmy na Flaterów w stronę Bugu.

Mając ranne nogi szedłem do Lublina dziesięć dni. Początkowo zatrzymałem się u znajomych ojca i zacząłem chodzić do szkoły do prywatnego gimnazjum dla dorosłych, ale ostrzeli mnie, że jest polecenie - nie pamiętam od kogo - aby wstępować do armii Berlinga, nie podawać, że się było w partyzantce, nie pchać się na pierwszą linię. Niech kacapy się tłuką, naszej krwi szkoda. Trafiłem do wojska. Do słynnego pułku na Majdanku, który mieścił się w obozowych barakach, stamtąd trafiłem do artylerii przeciwlotniczej. Wudy na pudy, bicie wszy. W barakach siedzieliśmy, taka cywil banda, nie pułk. Miałem przyjaciela, to był adwokat Władysław Bartkowicz, był on członkiem Sodalicii Mariańskiej, przy katedrze w Lublinie. Najstarszy z jego synów to był Staszek, student Politechniki Warszawskiej, którą skończył tuż przed wojną, drugą była Nuna studentka filologii na KUL-u, trzeci Władek, potem Tadeusz - mój rówieśnik i Kaja, która właściwie miała na imię Maria. Zdarzyła się tam zagadkowa sprawa do dziś nie wyjaśniona. Pan Bartkowicz sędział i za Niemców, bo był związany z delegatem z Londynu, na teren miasta czy województa. A Władek zaczął pojawiać się w mundurze esesmana / lata 1941-pocz.1943/ Nie mieszkał w domu, mimo że chłopcy mieli swój pokój - to było siedmiopokojowe mieszkanie. Kiedyś w nocy stukanie - „otworzyć!” Weszła policja, zapytali o Władka. Nie wiedzieli o co chodzi, myśleli, że Władek z nimi współpracuje. Różnie bywało. Wyciągnęli broń, zabrali tylko Władka. Po pewnym czasie dostał pan Bartkowicz telefon, żeby poszedł na cmentarz a babka cmentarna pokaże mu grób. Faktycznie, leżały na nim czerwone kwiaty: "Bojownikowi PPR, towarzysze broni".

W czasie wojny, jeszcze przed naszym wyjazdem za Wisłę powiedziano mi, że u Bartkowiczów jest kocioł. Ja już miałem doświadczenie z kotła w Wilnie

założyłem się o litr spirytusu, że ja tam pójde i wyjde. Poszedłem, dzwonię, byłem w mundurze, miałem przepustkę, książeczkę wojskową, zabrałem książki, które pożyczyłem z pieczętką "Władysław Bartkowicz, adwokat". Było tak samo, dżentelmen z "widelcem", propozycja nie do odrzucenia, trzeba było wejść. Przyszedł jakiś lejtnant i zaczął mnie wypytywać. "Owiedziałem, że jest tu mój kolega, że przyszedłem się pożegnać, że idę na front, pokazałem książkę itd." Potrzymali mnie dwie godziny, wszedł jakiś major i mówi: "ja prawierju" żeby nic nie mówić, że wszystko się zgadza. Moim dowódcą był Kutiejnikow, Rosjanin. Ten major mówi, żeby nic nie mówić. Zacząłem się śmiać i mówię: "Towarzyszu majorze, całe miasto wie, że tu jest kocioł, ja założyłem się o litr spirytusu, że wejdę i wyjdę." I mówię: "Chodźcie" Podszedłem do okna i pokazałem: chłopaki siedzieli i czekali, czy wyjdę. I rzeczywiście za dwie czy trzy godziny, kogo mieli zabrać to zabrali, innych wypuścili. Nawet jedna babka z bańką mleka tam siedziała. Bartkowicz po śmierci żony wstąpił do kapucynów, najpierw był w Krakowie, potem w Lublinie. Bartkowicz był jednym z najlepszych adwokatów od spraw karnych, przed wojną w Lublinie.

x

Wojna do Kołobrzegu. X samodzielna kompania obserwacji przeciwlotniczej związana z 32 pap.

RAND - rezerwa artylerii naczelnego dowództwa.

Jednostka nasza wchodziła w skład RAND-u. Dzisiaj to byśmy nazwali obrona przeciwlotnicza kraju. Ja byłem dowódcą tzw. działonu. Składał się z mojej osoby i 4 żołnierzy. Różni to byli ludzie, czasem jak popili to chachłaczyli, mówili po ukraińsku. Moi żołnierze pochodzili z rejonu Buczacza i Husiatyna. Jeden miał przed wojną wyrok 12 lat, bo jako kłusownik zabił gajowego, dwaj byli z wyrokami przedwojennymi za przemyt

Towarzystwo nieliczne, a śliczne. I jeśli do tego dodać, że ja miałem wówczas 17 lat i byłem ich dowódcą, a najmłodszy mój żołnierz miał dziesięć lat więcej niż ja, to można sobie wyobrazić jak to wyglądało. Niemniej dyscyplina jak na ówczesne warunki była. Wszyscy wiedzieliśmy jedno: to, co ma być zrobione, musi być zrobione. A ja przyjąłem taką zasadę: jak najdalej od sztabu jak najbliżej do kuchni. Na ogół to mi się udawało, bez wzlotów i bez upadków. Kapitan Kutiejnikow, dowódca i dwóch lejtnantów to byli fajne chłopaki. Szef zarządu politycznego płk Grosz. Jeden z tych lejtnantów oberwał od Grosza po gębie. Była cała draka. Z informacji przyjechał samochód, a ^{ut} Kutiejnikow ~~xxxxx~~ kazał wydać rusznice przeciwpancerne i broń i powiedział, że będzie strzelać. I informacja jak niepyszna musiał się zabrać. Ale on był w dobrych stosunkach z generałem Czarniankinem, generałem radzieckim. Oni sobie krzywdy nie zrobili. To było we Włochach, już po wojnie. Ludzie mieli całą wojnę za sobą. Wojna wreszcie się skończyła, ale na każdym jakiś ślad został.

Jak likwidowali jednostki przeciwlotnicze, najczęściej trafiło do WOP-u, m.in. mój kolega trafił do WOP-u w Bieszczadach.

Jak byłem w tym 32 paplu dostałem skierowanie do Łodzi, do szkoły oficerów polityczno-wychowawczych. Tam przyjechałem, ale chcieli mnie ostrzyć i zrobić rekrutów. A ja byłem podoficerem, ze stażem frontowym, jeszcze drugiego takiego sierżanta poderwałem, to nas odstemplowali i kazali wracać do jednostki. Ten sierżant sprzedał swoją parabelkę milicjantowi i dwa dni hulaliśmy po Łodzi. Przyjechałem do jednostki wreszcie i okazało się, że mam zameldować się w zarządzie politycznym. We Włochach już go nie było. Spotkałem kogoś, przedkazyli mi rozkaz wyjazdu, pojechałem do Lublina, na urlop.

Gdy wróciłem, w ogóle nie wiedzieli co ze mną zrobić. Ale spotkałem kolegę, który powiedział mi, że tworzy się poligon artylerii przeciwlotniczej w Brze . "Tam jest fajnie, nieć cię skierują" Trzeba trafić, że w skierowaniu napisali mi zamiast kpr - kpt, zrobili ze mnie kapitana i to zarządu politycznego. Ale mi na tym nie zależało. Pojechałem na ten poligon.

Plk Jackowski, dowódca, pokazał mi patent z podpisem arcyksięcia Karola, na rotmistrza kawalerii, przed wojną był wykładowcą w Uniwersytecie Poznańskim. Barwana i ciekawa postać.

W wojsku uznawał tylko gimnastykę, reszta go nie obchodziła. Z rana zrywał, wiatr, zimno, byliśmy u ujścia do morza. On rozbiierał się do połowy, kapał, jeździł konno. Miał 72 lata. Musieliśmy się gimnastykować, a poza tym mieliśmy święty spokój. Z wyżywieniem było gorzej. Mieliśmy z morza rybę - flądry. Ale z chlebem było źle. ^WKatarmistrza mieliśmy oszczędnego, wydawał ryby tyle ile przysługiwało, resztę kazał zakopywać. Jak pułkownik się o tym dowiedział, myślałem, że go roztrzęsie. Na tym poligonie było mi zupełnie dobrze, gdyby nie to, że rozpowszechniły się choroby weneryczne, 60 proc. było zarażonych. Ci, co chodzili do kelnerak do knajpy mieli rzeźaczkę, a ci, co do córki fryzjera, mieli poważniejszą. ^WNasz pułkownik jak się o tym dowiedział wpadł w czarną rozpacz. Na tym poligonie jeździłem jako kurier do dowódcy okręgu, m.in. pojechałem do Gryfic i dowiedziałem się, że tam jest gimnazjum. Szkoda mi było ^Tupływającego czasu, pojechałem do dowódcy, zapytałem czy mógłbym przenieść się do Gryfic, żeby uczyć się. Pułkownik był zadowolony z mojej inicjatywy, pojechałem do Bydgoszczy. Był tam radziecki major i od razu dał mi zgodę i przenieśli mnie do RKU. Mogłem chodzić do gimnazjum.

Jak przyjechałem huknął na mnie pułkownik, dlaczego melduję się jako kapral skoro mam napisane, że jestem kapi-

tanem. "Będziecie moim zastępcą do spraw politycznych".
Wtedy miałem 18 lat, co prawda niepełne, bo to było we
wrześniu 1945 roku, ale ponieważ uprawnienia dowódcy poligo-
nu były równe uprawnieniom dowódcy dywizji awansowałem na zas-
tępcę dowódcy do spraw politycznych. Oczywiście była z tego
bęczka śmiechu, bo byli tam ludzie, którzy znali mnie z okres-
su wojennego. Sam pułkownik traktował z przymrużeniem oka, ~~cy~~
ale taki fakt miał miejsce. Takie kieriery Nikodema Dyzmy ~~re~~
mogły się w wojsku zdarzyć. Jeśli chodzi o mnie nie chciałem
w wojsku zostać. Chodziłem do gimnazjum w Gryficach, Później
była demobilizacja - 9 grudnia 1946 roku.

na demobilizację
Wróciłem do Lublina. Przyszedłem do RKU Lublin - miast
Mówiono, że są paczki z UNRR-a na święta. Powiedziałem, że
chcę, oczywiście. "No to idź do komendanta. Sekretarka wypełni
ci druczek, że byłeś na wojnie, komendant podpisze. Pój-
dziesz na Ewangelicką, do Uczestników Walki Zbrojnej".

Tam poszedłem i tak zostałem późniejszym ZBOWIDowcem.

Jak byłem w RKU w Gryficach zostałem instruktorem PW i WF na
cztery powiaty: Kamień Pomorski, Gryfice, Nowogard i Łobyz.
I tam mieliśmy kłopoty: nazywało się to walka z bandami.
Taka walka o utrwalenie władzy ludowej. Wtedy nikt nie
mówił o władzy ludowej, bo Polska była demokratyczna, a nie
ludowa. W tym okresie wojsko było Wojsko Polskie a nie Ludowe
Te bady, to były grupy dezertersów radzieckich, którzy nie
chcieli wracać do batuszki. Nie wiedzieliśmy czy to było
ekskwasowcy czy dezerterszy czy maruderzy. Były z nimi poważ-
ne kłopoty. Pamiętam, jak jechałem kiedyś do Trzebiatowa,
minąłem tego starszyne, szefa bandy, który zabił porucznika
i ułana z 2 pułku ułanów w Trzebiatowie. Ich szukali wszyscy.
Milicja i wojsko. Z naszymi milicjantami też było różnie.

Często szukało ich wojsko i jednostki radzieckie, bo napadali na osadników. Osadnicy byli nękani i przez maruderów, były jeszcze niedobitki niemieckie, szabrownicy, różne inne męty. Trzeba było ich chronić. Wszystko spadało na wojsko. Ludzie mieli zaufanie jedynie do wojska.
